



Przystań
na
dłużej



ZŁOTY MOST

GAWĘDY I LEGENDY O ZIEMI CZAPLINECKIEJ



Z
*Za górami za lasami,
między dwoma jeziorami,
gdzie historia miesza się z dzisiejszymi czasami,
a tutejsi mieszkańcy żyją marzeniami,
i Templariusze przechadzają się ulicami...*

*Jednak nie odkrywajmy wszystkiego od razu,
przeczytajcie sami.*



MIASTECZKO POGRANICZA

Opowieść o Czaplunku

- Czy nie uważasz, bracie Gotfrydzie, że to doskonale miejsce na założenie komandorii?

- Dlaczego tak myślisz, bracie Hugonie?

- Ależ Gotfrydzie, nie powinieneś mieć wątpliwości. Od wschodu i zachodu chronią nas dwa jeziora, między nimi rozlewiska i mokradła. Nie ma się też co martwić o żywność - lasy wokół pełne zwierzyny, owoców i wszelkiego dobra. Gdzież lepsza ochrona i dostatek?

- A jak nazwiemy to miejsce?

- Niech zwie się Tempelborch - na pamiątkę naszego Zakonu Templariuszy...

Rycerska komandoria templariuszy powstała w XIII wieku na terenie dawno już istniejącej, polskiej osady o nazwie Czaplunek. Miała strzec tych ziem przed zakusami Brandenburczyków, książąt pomorskich, Krzyżaków. Miasteczko na wzgórzu między jeziorami przez ponad 300 lat było strażnicą polskości.

Przez kolejne trzy wieki przyszło tej ziemi gościć naród niemiecki. Taki los...

Pół wieku temu wrócili tu Polacy.

A teraz?

To zwyczajne miasteczko. Daleko od fabryk, supermarketów i blokowisk. Spokojne, trochę staroświeckie... Jeśli szukacie blichtru, rozrywki, fajerwerków - nie jedźcie tam.

To zwyczajne miasteczko. Mieszkają w nim dobrzy, spokojni ludzie. Może ten spokój czerpią z błękitnych lusterek jezior, których tu tak wiele, może z niewzruszonej ciszy lasów otulających to miejsce, może z faktu, że nikt tu nie jest stąd...

To nie jest zwyczajne miasteczko. Mieszkają tu ludzie z Wileńszczyzny i ze Śląska z Wielkopolski i spod Lwowa, z Bieszczad, Kielc i Łodzi. Od końca wojny zjeżdżali tu falami, znajdowali dla siebie domy, ziemię pracę, możliwość zbudowania nowego życia. Zostali, bo...

...to nie jest zwyczajne miasteczko. Tu każdy czuje się bezpiecznie jak w domu, chociaż domy zbudowali w większości poprzedni, niemieccy mieszkańcy tej ziemi. Polacy dorzucili tylko bloki... Tu wszyscy czują się u siebie, bo swój dom nosi się w sobie.

A domy w Czaplunku są przeważnie stuletnie, promieniące niestarzącym się urokiem. Mają rzeźbione okna - małe, ale z pelargoniami i falbankami tradycyjnych firanek, wielkie dwuspadowe dachy, kryjące tajemni-



■ Izba Muzealna

otworzona została w 1997 r. Wśród wielkiej liczby eksponatów zgromadzonych w Izbie Muzealnej przeważają dawne przedmioty codziennego użytku, poczynając od starych żelazek z duszą, poprzez żarna do mielenia zboża, na dziwnych narzędziach o nieznanym już niejednokrotnie dziś przeznaczeniu kończąc. W przedsionku Izby stoi nawet kilka dawnych maszyn rolniczych. Miłośników historii zainteresują znajdujące się tu stare mapy oraz zbiór powojennych kronik. Większość eksponatów stanowią przedmioty przekazane przez mieszkańców.

ce dziadkowych strychów, secesyjne, drewniane drzwi z fantazyjnymi klamkami i kolorowymi szybkami na górze. Tworzą ciepły klimat babcinej kanapy i stołu z dzierganą serwetą, ciastem i kompotem. A jeszcze przy każdym choćby niewielki ogródek z ławeczką przed domem po zachodniej stronie.

Taką, na której się siada po południu i gada, gada, gada... A kiedy indziej patrzy tylko z życzliwą ciekawością na przechodzących ulicą ludzi.

- Dzień dobry, pani Alaszkiewiczowa. A gdzie to chodziła, a?

- A dzień dobry, pani Kubuszkowa. A w Izbie Muzealnej była. Ot, zaniósła tam co niebądź, co to my jeszcze z za Buga przywieźli.

- O to, to! Toż mój Marcinek też nosił taki stary, poniemiecki zegar, co to na strychu my znaleźli. Chodził tyle lat, ale już i widać jego koniec. Służył Niemcom, służył nam, teraz niech i w muzeum pobędzie.

- Oj tak, pani. Tyle tam rzeczy co my tylko z dzieciwa znali. A teraz niech dzieciaki popatrz, jak to dawniej bez światła, a choćby i tego telewizora było...

I siadają babcie na ławce przed domem i czują, że to dobre miejsce, choć inni budują wille i bloki, jeżdżą szybkimi autami i ciągle gadają przez komórki.

Wiedzą, że wnuki przyjdą w niedzielę na placzek ze śliwkami. Że wrócą tu po latach szukać ginącego świata życzliwości, serdeczności, gościnności.

Ten babciny dom z za Buga, ze Śląska czy z Centrali poniosą w przyszłość – do Europy bez granic i bez wyrazu...

Jak średniowieczni templariusze, jak ich wysiedleni po wojnie dziadkowie SWÓJ DOM BĘDĄ NOSIĆ W SOBIE.

ULICZKA ZAGINIONEGO TEMPLARIUSZA

- Bracie Florestanie!

Mężczyzna w białej, przepasanej po rycersku szacie, stał zamyślony przy jednym z okien wielkiej sali. Zapatrzył się na widoczne stamtąd zielone wzgórza po drugiej stronie Jeziora Drawskiego i na barwne obrazy, jakie słońce malowało na zachodnim niebie. Nie słyszał wołania.

- Bracie Florestanie! – brodaty zakonnik podszedł do niego i dokończył spokojnie. – Komandor życzy sobie widzieć cię w swojej komnacie. Teraz.

Komandor... Jego życzenie jest dla templariusza święte. Bez jego woli nie tylko nie można zrobić choćby kroku poza murami zamku, jeździć konno, polować czy rozmawiać z poddanymi, nie tylko nie wolno niczego zatrzymać dla siebie, nawet pustej sakwy, jeśli jest zamykana na zamek, nawet ozdobnych strzemion czy ostróg. Bez jego woli nie wolno ani jeść, ani nie jeść, ani spać, ani nie spać. Bez jego woli nic się nie dzieje w rycerskiej komandorii.

Florestan nie był już młody. Wiele lat służył Bogu i ludziom jako ubogi, pokorny templariusz, jego biały płaszcz z czerwonym krzyżem na plecach nie raz furkotał w wicherze bitewnym



w dalekiej Ziemi Świętej czy choćby rodzinnej Francji. "Swoją pierś przyoblekł w kolczugę, a duszę okrył pancerzem wiary" – jak kazał twórca ich reguły, Bernard z Clairvaux. A teraz, u schyłku pełnego szlachetnych czynów życia, opadły go wątpliwości... Dlaczego zawsze trzeba być posłusznym komandorowi? Jest tylko jednym z nich, takim samym rycerzem, jak inni na tej, oddalonej od cywilizowanego świata placówce. Każdy z przebywających w zamku Tempelburg braci to dzielny, szlachetny i skromny człowiek. Każdy ma za sobą lata wiernej służby w imię Chrystusa. Każdy sam dobrze wie, co jest dobre, a co złe. Dlaczego akurat takiego bezdusznego człowieka Mistrz wyznaczył na komandora? Według reguły Zakonu trzeba być mu we wszystkim posłusznym. A jeśli nie ma racji? Przecież biedni, proszą ludzie z tej zdobnej w jeziora jak w klejnoty ziemi też zasługują na ich opiekę...

- Wzywałś mnie, komandorze – głos sędziwego Florestana był spokojny i stanowczy. Niczym nie zdradzał gonitwy myśli, którą był poprzedzony.

- Tak, bracie. Chciałem powiedzieć to jasno i wyraźnie. Nie zezwalam.

Niedobra cisza jak wieczność rozdzielała obu rycerzy. Stali naprzeciwko siebie, wyprostowani, jakby broniąc niezdo-bywalnego terytorium swoich racji. Patrzyli sobie w oczy i milczeli.

"Zakon. Służba. Posłuszeństwo." – zdawały się mówić spojrzenie i postawa komandora. "Templariusze zbudowali tu, na ziemi nadanej przez księcia wielkopolskiego Przemysła II, swoją placówkę, by strzec granic chrześcijaństwa i pomnażać dobra Zakonu. Wszystko, co z takim trudem zdobywamy, należy do Zakonu. Pracujemy. Budujemy nie tylko Tempelburg, wytyczamy miejskie ulice i rynek, rozwijamy handel, strzeżemy dróg. Tworzymy w okolicy nowe osady, by jak najwięcej ludzi pracowało na nasze daniny. By Zakon był coraz bogatszy. By mógł wspierać tych, którzy walczą w Ziemi Świętej. Każdy dukat, każdy korzec zboża, każdy sznur bursztynów się liczy. Nazywamy się Bractwem Ubogich Rycerzy Chrystusa. Niczego nie posiadamy dla siebie. Wszystko jest własnością Zakonu."

- Nie zezwalam, byś naruszał dobra Zakonu Templariuszy – komandor był nieugięty. Zwykle to skutkowało.

Rycerz Florestan opowie-



■ Kościół parafialny pw. Św. Trójcy

jest to najstarsza murowana budowla w Czaplince, powstała prawdopodobnie pod koniec XIV lub na początku XV w. Pierwotnie posiadał wieżę, której nie zrekonstruowano podczas odbudowy ze zniszczeń spowodowanych w 1725 roku przez wielki pożar. Wewnątrz znajduje się unikalny barokowy ołtarz baldachimowy. Kościół położony jest przy ulicy Moniuszki, na wzgórzu, gdzie wcześniej najprawdopodobniej znajdował się drewniany zamek templariuszy.

dział mu kilka dni temu historię ubogiej rodziny, zamieszkującej w chacie u stóp zamku. Wdowa po rybaku, który przez kilkanaście lat dostarczał komandorii wszelkich ryb z okolicznych jezior, ma teraz kłopoty. Rybak utonął pół roku temu. Kobiecie ciężko samej, z gromadką małych dzieci. Latem jeszcze dają sobie radę, bo w lasach każdy znajdzie pożywienie, a przyodziewku wiele nie trzeba. Ale idzie zima. Dzieciaki są za małe, żeby coś upolować albo samemu wypłynąć na jezioro. Kobieta próbuje sprzedawać

wędrownym kupcom gliniane garnki i misy, ale nie na wiele się to zdaje. Florestan prosił, by templariusze z zamku zaopiekowali się biedakami. Chciał, by dzielili się z nimi stawą, choćby przez tę zimową porę. Potem już jakoś dadzą sobie radę...

Ale komandor był stanowczy. Jego "Nie zezwalam!" brzmiało w uszach rycerza o dobrym sercu jak trzask bicza. Jak huk zamykanej bramy. Jak wyrok. Templariusz skłonił się pokornie swemu przełożonemu i wyszedł z komnaty. Nie był smutny. Nie był zły. Przeciwnie, jego podniesiona głowa, jasna twarz i błysk w oku zdradzały, że podjął właśnie jakąś decyzję i to na niej skupia swoją uwagę.

Następnego ranka na parapecie okienka w chacie wdowy, pomiędzy doniczkami czerwonych pelargonii, pojawił się woreczek mąki, bułdak oliwy, chleb i suszone mięso. Za kilka dni dzieci także coś znalazły. Tak było przez czas jakiś. Aż raz zamiast jedzenia biedacy ujrzeli woreczek dukatów i misterny, złoty krzyżyk. To było wtedy, gdy szanowany przez wszystkich braci, sędziwy rycerz Florestan zaginęła bez wieści...

Dziś na miejscu zamku Bractwa Ubogich Rycerzy Chrystusa, w środku Czaplinka, stoi stary, kamienny kościół, a tam, gdzie była chata rybaka, biegnie Uliczka Zaginionego Templariusza. O świecie widziano w niej nie raz zamyśloną postać w białym, rycerskim płaszczu z czerwonym krzyżem na plecach.

POŻAR CZYLI O TWARZY PEWNEGO ŚWIĘTEGO

W Czaplunku letnie zachody słońca są doprawdy przepiękne. Żłoto, purpura i fiolet malują bajecznie gasnący błękit wieczornego nieba i połyskującą wesoło tafłę jeziora Drawsko. Nad wodą ognista kula coraz niżej i niżej, za chwilę utworzy na niej złoty most, po którym nie ludziom chodzić, a chyba tylko aniołom...

Żłoto, purpura i fiolet – to niezwykle kolory, więc kiedy natura się w nie ubiera, ludzie czekają na niezwykle zdarzenia. Takie kolory miało wieczorne niebo 10 czerwca 1725 roku w miasteczku Tempelburg na Pomorzu. Ludzie podnosili głowy, dziwili się, szukali znaczeń. W końcu wracali do swych codziennych robót. Straganiarki zbierały towary i układały w drewnianych skrzyniach, które potem odwoziły do pobliskich domów. Rybacy suszyli i starannie zwijali więcierze i niewody, by jutro skoro świt były gotowe do kolejnych połowów. Gospodarze doglądali swojego dobytku, zamykali bramy, sprawdzali okiennice. Tylko dzieci nie chciały uwierzyć, że dzień się już kończy i dalej hałasowały w bocznych uliczkach miasteczka. Ale słońce nieubłaganie zachodziło.

- Może już zamknę okno? – rozmyślała głośno mieszcza, patrząc jeszcze

w stronę dziwnie czerwonego nieba.

- Nie, zostaw – odpowiedział jej mąż Radost. – Tak dziś gorąco, że nie mogę zasnąć. To już chyba lato. I taka dziwna cisza...

- Masz rację. Coś dziwnego jest dziś w powietrzu. Popatrz tylko na to niebo. Nigdy takiego nie widziałam.

Mężczyzna podszedł do okna i krzyknął przerażony:

- Ależ kobieto! To pożar! Gore! Gore! Ludzie, ratujmy dobytek! Pożar!!!

Wybiegł ledwo chwyciwszy ceber na wodę i już pędził w stronę rynku. Za nim inni z czym tylko się dało. W jednej chwili zapanował w miasteczku rejwach, krzyk bieranina.

- Co robić? Co robić? Woda! Do jeziora! Gdzie?

- Do Czaplina bliżej! Tędy! Nie!

- Ludzie, spichlerz się pali!

- Kościół!

- Mój doooooom!!!

Każdy biega w swoją stronę, wszyscy chcą gasić, ale ogień skacze lekko od strzechy do strzechy, od belki do belki, od domu do domu. Jest go coraz więcej, ludzie są coraz bardziej zmęczeni, załamani beznadziejnym trudem, przerażeni, zagubieni.

- Święty Boże, święty, mocny – zaśpiewał ktoś donośnie, a za nim jeszcze ktoś i po chwili tłum cały:

- Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!

Zobaczyli, że zawalił się strop w starym, już trzystuletnim kościele, ufundowanym jeszcze przez króla polskiego Władysława Jagiełłę. Padli na kolana i śpiewali;

*Święty Boże, święty mocny,
Święty a nieśmiertelny,
Zmiłuj się nad nami!*

Pośród trzaskającego ognia i huku spadających belek usłyszeli odgłos końskich kopyt na bruku. Obejrzeni się. Zbliżał się do nich... wielki. Jasny możny rycerz w świetlistej zbroi i purpurowym płaszczu. Miał nadzwyczaj łagodną twarz. Pochylili głowy. Onieśli

- Ludzie, do pracy! Ugasimy ten pożar. – Głos miał donosny, nie znośzący sprzeciwu, ale spokojny i dobry.

Natychmiast podnieśli się z klęczek, jakby we śnie chwycili swoje cebrzyki, bosaki, haki, ruszyli do boju z ogniem. Rycerz wydawał krótkie polecenia, ale też uwijał się z opanowanymi już mieszczanami, kierował, porządkował. Był. Tak, najważniejsze, że z nimi był taki możny. Jasny i dobry.

A kiedy o świcie ogień został do cna zduszony, stanął między tłumem śmiertelnie zmęczonych ludzi i rzekł:

- Pożar zabrał wam prawie całe miasto – domy, spichrze, ratusz, ewangelicy stracili swój zbór, a katolicy kościół. Nie płaczcie. Zbudujcie nowe miasto – piękne, jasne i czyste. Zachowajcie rynek i układ ulic, bo to pamiątka po pierwszych osadnikach sprzed pięciuset lat, ale domy zbudujcie większe, wygodne i przestronne. Kościół zaś niech będzie z kamienia, by żaden ogień nie mógł go strawić. Teraz odpocznijcie, dobrzy ludzie, bo praca, jaką wykonaliście, była ciężka.



■ Jezioro Czaplino

drugie pod względem wielkości jezioro w granicach miasta Czaplina, o pow. 110 ha i maksymalnej głębokości 22 m. Przed 1945 rokiem rozgrywano na nim zawody kajakowe i wiosłarskie. Od strony Toruńskiej zachowały się tarasy, na których zapewne niegdyś były ustawione ławki dla kibiców.

Istotnie, zmęczonych mieszczan ogarnęła senna, posiadali więc tam gdzie stali, pozamykali oczy, a on czuwał nad nimi w blasku purpurowo-fioletowego, wschodzącego słońca. Ktoś chciał zapytać:

- Kim jesteś, panie? Ale już nie zdążył, bo sen go zmorzył.

Gdy się obudzili, słońce było wysoko. Wokół widzieli pogorzeliśko, ale w sercach mieli spokój i nadzieję. Rycerz zniknął.

W ciągu kilku lat miasteczko zostało odbudowane – piękniejsze, wygodniejsze, jaśniejsze. Kościół miał teraz grube mury z polnych kamieni. Wewnątrz umieszczono nie tylko bajecznie piękny, barokowy ołtarz, namalowano też na suficie różnych świętych. Jeden z nich ma twarz TAMTEGO rycerza.

LEGENDY O ZAMKU DRAHIM

GAWĘDA O DRAHIMIU - KASZTEL

*Matulu moja, daj mnie do dwora,
Daj mnie do dwora służyć,
Bo tam, w tym dworze, matulu moja,
Można rozkoszy użyć.*

Ech, dawniej w naszej okolicy – to bywały dwory!

Groźne warownie za potężnymi murami kryły najszlachetniejszych i najpiękniejszych, w dodatku najprawdziwszych RYCERZY. A gdzie rycerze, tam nie tylko bitwy i szcęk broni, przecież także ucztę i wieczornice, biesiady, muzyka, tańce – no i damy. Hm, też prawdziwe.

*Bo tam w tym dworze, matulu moja,
Zielone suknie krają.
Bo tam w tym dworze, matulu moja,
Co roczek wyrządzają.*

Najwspanialszy kasztel stał kiedyś w Drahimiu. Stoi do dziś – dostojny i tajemniczy, a kształt ruin, który teraz przybrał, tylko mu przydaje malowniczości. Cóż tam kiedyś się działo! Nawet król Polski tam bywał!

Opowiedzieć Wam?

Czasy były dawne, dawne – tak dawne, że wokół nie było żadnych miast, tylko las i las, bór ogromny, stary, głęboki. Gdybyś był wtedy ptakiem i mógł poszybować wysoko, ponad najwyższymi drzewami, ponad jeziorami, wzgórzami, między chmurami, zobaczyłbyś taki obraz:

- od północy – Księstwo Pomorskie, zamknięte szarą linią Bałtyku,
- od zachodu – Marchia Brandenburska
- od wschodu – wiecznie niespokojne, groźne Państwo Krzyżackie.

A między nimi, jak złoty płomyk między mrokami chłodnej nocy, niewielki przesmyk między jeziorami Drawsko i Żerdno, słoneczne wzgórze i potężne mury naszego zamku. STAROSTWO DRAHIMSKIE – ostoja polskości, rycerski kasztel, który zapisał się trwale w dziejach naszego narodu.

Zbudowali go w XIV wieku najprawdziwsi rycerze, obrońcy Ziemi Świętej – joannicy. Jego surowość miała być gwarancją trwałości. Jego prostota – wyrazem szlachetnych intencji. Jego piękno – światłem w tej pełnej tajemnicy krainie puszczy, mgieł i jezior. Kasztel od roku 1368 prawnie należał do królów polskich, a od 1406 r. funkcjonował jako siedziba Starostwa Drahimskiego, podległego wojewodzie poznańskiemu.

To były czasy! Ech!

Zamek pełen był zawsze najdzielniejszych rycerzy – w końcu pełnił rolę warowni, której zadaniem było nie dopuścić do utworzenia wspólnej granicy między Nową Marchią a Państwem Krzyżackim,



■ Ruiny zamku Drahim w Starym Drawsku

pozostałości warownego zamku, wzniesionego w latach 1360 - 1366 przez joannitów i będącego w latach 1407 - 1668 siedzibą starostów drahimskich. Zamek zlokalizowano w wąskim przesmyku między jeziorami: Drawsko i Żerdno w miejscu zniszczonego wczesnośredniowiecznego, słowiańskiego grodziska. Na dziedzińcu zamkowym stoi obecnie kilka budynków imitujących dawną zabudowę. Zamek otrzymał status muzeum. Można tu zobaczyć m. in. broń, zbroje, narzędzia tortur itp. Organizowane są także pokazy pojedynków rycerskich.

a tym samym utrzymać jak najdłużej polskość tych ziem. To nie było łatwe zadanie, zważywszy jak silni byli przeciwnicy. Ale też załoga drahimskiego kasztelu nie składała się z byle kogo! Matulu moja, jak oni potrafili walczyć!

Nie czekali, aż ktoś zaatakuje groźne mury zamku – sami wypuszczali się na podjazdy. Nie zrzucali całej odpowiedzialności na zajętego walką z Krzyżakami króla – sami z nimi walczyli, kiedy tylko była okazja. Nie markotnieli

wieczorami w mrocznych salkach żółnierskich - weselili się, grali na gęslach i piszczałkach, śpiewali, tańczyli, układali wierszowane wyznania dla dam...

A ówczesny król Polski – Władysław Jagiełło – osobiście raczył przybyć do Drahimia. Czyż mógł ten mądry i potężny władca nie zwrócić swego łaskawego spojrzenia na najwspanialszą, najdzielniejszą przed Krzyżakami broniącą polską placówkę? Przybył tu w roku 1426, jak dobry, choć wymagający ojciec, jak opiekun i strażnik, jak przyjaciel i sprawiedliwy sędzia.

Wieść gminna głosi, że długo wysłuchiwał opowieści rycerskich, nagradzał szczególnie zasłużonych, wspierał markotnych, podnosił na duchu. A kiedy na-

stała noc, wypłynął samotną łodzią na jezioro i napawając się jego spokojem i ciszą zadumał się nad losem polskiego rycerstwa. A srebro na jego skroniach, połyskliwe fale jeziora i błada, księżycowa poświata słały dobrotliwy blask na usypiającą bezpiecznie okolicę.

Od tej pory jezioro, po którym pływał możny i dobry król Władysław, ludzie nazywają Srebrnym.

A zgaszona patyną wieków purpura murów drahimskiego kasztelu góruje nad błękitem jezior i zielenią lasów jak prawdziwa korona.

Historia Zamku Drahim sięga czasów gdy na terenach wokół jeziora Drawsko zamieszkali templariusze. Przedstawiciele słynnego z gospodarności i ogromnej wiedzy Bractwa Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona osiedlili się w pobliskiej osadzie Czaplinek z woli księcia wielkopolskiego Przemysła II w 1286 r. Na wzgórzu między jeziorami wybudowali swoją komandorię z pierwszą chrześcijańską kaplicą, wytyczyli istniejący do dziś rynek wraz z otaczającymi go ulicami i zaczęli gospodarować w powierzonych im opiece krainie, którą nazwali Tempelborch – Miasto Świątynne. Niestety, trzydzieści sześć lat później, w roku 1312 zapadła decyzja o kasacji ich zakonu i konieczności przekazania wszelkich dóbr Zakonowi Joannitów. Zanim jednak stało się, w Komandorii Tempelborc przez ponad dwadzieścia kolejnych lat rządy sprawował sławny ze swej mądrości i zaradności rycerz von Wartenberg. Kiedy sędziwy komandor żegnał się z doczesnym światem, był rok 1345.



■ Głaz „Tempelburg”

– znajduje się on ok. 5 km od Czaplinka, nieopodal szosy prowadzącej z Czaplinka do Starego Kaleńska, w pobliżu małej wsi Cichorzecze. Ta granitowa pamiątka po wielkim lodowcu sprzed kilkunastu tysięcy lat ma 19,5 m obwodu i 3,5 m wysokości. Przez wiele lat pełnił on rolę kamienia granicznego, tędy bowiem przebiegała granica Starostwa Drahimskiego. Nazwę „Tempelburg” nadano głazowi po II wojnie światowej.

MARZENIE STAREGO KOMANDORA

Siwobrody starzec w białej, rycerskiej tunice siedział zamysłony na prostym, drewnianym krześle. Przez niewielkie okienko wpadały złocistopurpurowe promienie zachodzącego słońca, a ogień w kominku już od dawna ogrzewał suche, wiecznie chłodne dłonie sędziwego mędrca. Jan von Wartenberg mieszkał w Czaplunku od prawie czterdziestu lat. Został tu przysłany przez władze zakonu po zdradzie króla Filipa Pięknego. Już w tej bajecznie położonej komandorii przyszło mu przeżywać kasatę zakonu i straszliwie niesprawiedliwą śmierć mistrza Jakuba de Molay. Został komandorem na kilka miesięcy przed druzgocącą decyzją papieża, iż bratni zakon ma przejść zdobywane z takim trudem dobra templariuszy w całej Europie. Czy mógł wtedy z dnia na dzień przestać być zakonnikiem, wyzbyć się swojego doświadczenia rycerskiego i zapomnieć wszystko, czego nauczyli go bracia templariusze? Zostawić wszystko co kochał przez całe swoje dorosłe życie, wyrzec się honoru i porzucić powierzoną sobie placówkę? To oczywiste, że takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Trzeba było szukać innego rozwiązania. Został joannitą. Nie, to nie była zdrada, takie zachowanie było zgodne z regułą zakonu, która nawet w boju kazała stać pod sztandarami bratnich zakonów,

jeśli swoje traciło się z pola widzenia. Pozostawał więc komandorem, w miejscu zwanym Tempelborch, przez długie lata służył braciom i tej nadzwyczaj pięknej ziemi swoją wiedzą niemałym doświadczeniem. Tak trzeba było.

Dziś poczuł, że jednak czas opuścić na zawsze ukochaną warownię, miasteczko wtulone w błękitne wody jezior i mroczną zieleń lasów, pożegnać się z gospodarowaniem na ruchliwym szlaku handlowym i skrupulatnie uprawianych polach. Kończy się ziemska wędrówka starego rycerza, zdrowie już dawno pozostawia wiele do życzenia, a i dusza tęskni do wiecznego raj. Czas... Jak co dzień wezwał więc jednego z mieszkających w komandorii braci – rycerzy, szlachetnie urodzonego Gerharda, któremu od lat przekazywał wszystko, co wiedział o gospodarowaniu, budownictwie, zarządzaniu, całą swą wiedzę o świecie i ludziach. Czekał na swojego podopiecznego, gładząc suchymi palcami rzeźbione znaki na wieku sporej, drewnianej skrzyni.

- Komandorze? – z zamyślenia obudził go spokojny, lecz zdecydowany głos.

- Witaj Gebhradzie. Czekałem na ciebie. Musimy dziś odbyć najważniejszą z naszych rozmów. Może już ostatnią.

- Co każesz, panie. – Nawykły do posłuszeństwa i pokory niemłody już zakonnik usiadł na wskazanej mu ławie w pobliżu kominka. Dostrzegł niezwykle u swojego przełożonego i nauczyciela napięcie, drżenie rąk na wieku skrzyni, zamyślenie, może nawet rozrzewnienie w wyblakłych od starości, mądrych i dobrych oczach. Słuchał więc z uwagą.

- Nie zdziwi cię z pewnością wiadomość, iż wkrótce przejmiesz po mnie komandorię. Najdalej za dwie niedziele potwierdzające to dokumenty. Dziś jednak pragnę ci przekazać moje najsmielsze plany i ...- głos starca zadrżał, ale po chwili wrócił do formy – i marzenia. Domyślasz się, jak mniemam, co kryje ta stara, templariuszowska skrzynia.

Gebhrard w jednej chwili zrozumiał myśl swojego opiekuna. Wiedział, że jego największym marzeniem jest potężny, murowany zamek warowny, który miałby stanąć na tej, ukochanej przez niego, ziemi. Często mawiał, że Bóg dobrze wiedział, jak nagrodzić go za wszystkie trudy rycerskiej i mnisiej służby w skrajnym posłuszeństwie i pokorze, dlatego właśnie pozwolił mu pół życia spędzić w najpiękniejszej na świecie komandorii. Nigdzie – ani we Francji, ani w Hiszpanii, ani nawet w Niemczech czy nawet Ziemi Świętej nie było takich jezior, lasów, nieba. Nigdzie natura, tak obficie nie darzyła swymi urokami i bogactwem, jak na tych wyłożonych słońcem, błękitno – zielonych wzgórzach. Fakt, nie było tu najspokojniej, bo sąsiedztwo krzyżackie, brandenburskie i pomorskie do najłatwiejszych nie należało, ale kto miał sobie z nimi poradzić, jeśli nie najpotężniejszy w boju i w czasie pokoju rycerze zakonnici? Ta wschodnia komandoria stała się więc dla starego rycerza oazą spokoju, pracowitości i harmonijnego życia.

- Kiedy jeszcze byłem templariuszem, marzyłem o tym, by stanęła na tej ziemi potężna warownia, która by zapewniła jej pracowitym, cichym mieszkańcom

spokój i bezpieczeństwo, a nam, zakonnikom, dała dom, na jaki zasługujemy. Przez kilkanaście lat zbierałem dokumenty, tworzyłem plany, wyliczenia. Wszystko znajdziesz w tej skrzyni. Zbudujesz zamek Drahim.

- Ja, panie? To ty jesteś budowniczym i genialnym matematykiem. Obawiam się, że sam nie dam rady.

- Odwagi, Gebhrardzie. Wszystko dokładnie ci opisałem. Zamek wzniesiesz na wzgórzu pomiędzy jeziorami Drawsko i Żerdno, tam gdzie łączy je rzeka Drawa. Wzniesienie to ma doskonałe, strategiczne położenie, podobno do wielu templariuszowskich warowni w całej Europie. Budowla ma powstać na planie kwadratu, z częścią zamkową przy południowej ścianie. Tam wstęp będą mieli tylko ludzie zakonu. Nie zapomnij o lochach, które mają być postrachem dla wrogów, szczególnie dla niepokornych braci Krzyżaków. Dziedzinec, otoczony murami równie wysokimi, co zamek, ma tętnić życiem. Umieścisz tam rzemieślników, kucharzy, stajnie z naszymi końmi wszelkie magazyny. Dbaj o to, by mieszkańcom komandorii niczego nie zabrakło, ale bacz też, by ich poddanym krzywda się nie działa. Folwark umieścisz poza murami, u stóp zamku, na brzegu rzeki Drawy. A cegły niech robią rzemieślnicy z pobliskiej wsi Sikory i przewożą łodziami przez jezioro. Tu masz wszystko co powinieneś wiedzieć. Spisałem ... - potok słów starego komandora urwał się, gdy drżące dłonie otworzyły rzeźbione wieko skrzyni i powili wyjmowały pokryte zapiskami i rysunkami arkusze.



■ Osada ceramiczna w Sikorach

w celu zwiększenia atrakcyjności wsi grupa mieszkańców Sikor postanowiła reaktywować tradycje ceramiczne, które zanikły po 1945 roku. Kilka lat temu wybudowano w centrum wsi piec garncarski wraz z miejscem do odpoczynku. Dzięki temu, można samodzielnie spróbować lepienia w glinie lub wypalania ceramiki.

- Mam jeszcze jedną prośbę. Już nie zdążyłem tego rozrysować, ale teraz czasy są niepewne, pomyślałem, że trzeba jeszcze... - głos rycerza Jana były już ledwie słyszalne.

- Panie, może wrócimy do tej rozmowy jutro. Czas na spoczynek – próbował pomóc nieco zakłopotany Gerhard.

- Słusznie, na mnie już czas, ale jeszcze tylko to. Zbuduj proszę podziemne przejście z naszej czaplineckiej siedziby do nowego zamku. To daleko, ale templariusze budowali już o wiele dłuższe korytarze. Mamy tu tyle ważnych dokumentów i cennych dla obu zakonów przedmiotów. Uwierz mi, to wysiłek ten nie będzie daremny.

- Komandorze, zrobię wszystko, jak każesz – widząc gasnące światło w oczach ukochanego opanowany do tej pory joannita przyklęknął przed nim, gotów podtrzymać chwiejącą się, coraz słabszą postać. – Przyrzekam ci, że twój Drahim będzie najwspanialszą budowlą w całej okolicy, przez długie wieki świadcząca o wielkości Twoich templariuszy i moich joannitów. Obiecuję ci to twój najwierniejszy uczeń, obiecuje na rycerski honor twój następcą, obiecuję ci to ja – Gerhard von Bortfelde.

Ostatnie słowa komandora Jana von Wartenberga były już ledwo słyszalne. Opadający z sił stary rycerz wyszeptał je tak, by klęczący u jego stóp Gerhard nie miał wątpliwości:

- A kiedy odejdę do Pana, serce moje i kości pochowaj w Drahimiu.

Czy tak było w istocie? Cóż, nawet gdyby, tę scenę widziało tylko zachodzące nad jeziorem Drawsko słońce i pełgający w mrocznej, rycerskiej Sali ogień w niewielkim kominku. Tak naprawdę nie wiadomo, kiedy rozpoczęła się budowa potężnej warowni o nazwie Drahim. Wiadomo na pewno, że jest uderzająco podobna do wielu zamków templariuszy, jakie rozsiane były po całej Europie i że dwadzieścia lat po przejściu dóbr templariuszy przez joannitów zamek odkupił od zakonu polski król Kazimierz Wielki.

Było to w roku 1368. Wcześniej wybuchła wojna pomorsko – brandenburska, w którą po stronie Marchii zaangażowali się drahimscy joannici, za co książę szczeciński Barnim III spalił komandorię czaplinecką. Zakonnicy zamieszkali



wtedy w nowym zamku i wkrótce stali się lennikami Korony Polskiej.

Po śmierci Kazimierza Wielkiego na Pomorzu znów toczyły się nieustanne walki, okoliczne miejscowości przechodziły z rąk do rąk, Drahim zaś pozostał niezdobyty. Potężna, nowoczesna twierdza broniła się przed zakusami terytorialnymi różnych politycznych sąsiadów, oficjalnie wciąż należąc do Polski. Jednak nieoficjalnie mieszkający w Drahimiu joannici sprzymierzyli się z wyjątkowo ekspansywnymi Krzyżakami, którzy w 1384 r. kupili Świdwin, w 1390 Drawsko i butnie panoszyli się w całej Nowej Marchii. To oczywiste, że genialnie pod względem strategicznym umieszczony Drahim kusił ich niezmiernie. Zdobycie go pozwoliłoby Krzyżakom na połączenie ich terytoriów, zawładnięcie wspaniałym szlakiem handlowym i wzmocnienie granicy z wciąż potężną Polską. Ale rycerska warownia zamieszkała przez skłonnych do współpracy joannitów, nie była łatwa do zdobycia. W 1407 roku król Polski Władysław Jagiełło postanowił osobiście uporządkować trudne sprawy pogranicza. Podobno osobiście wizytował te niespokojne tereny, a stwierdziwszy nielojalność joannitów jako lenników Korony, wysłał do nich swoje wojska. Pod wodzą Tomasza z Węgleszyna odebrały one joannitom graniczny zamek Drahim. Z terenów dawnej Komandorii Tempelburskiej król Władysław Jagiełło utworzył Starostwo Drahimskie – strażnicę polskości na następnych 250 lat.

JAK KRÓLEWSKI SEN

Zcałymśzaczunkiem, miłościwypanie, ale tak dłużej być nie może! – wykrzyknął młody rycerz w błękitnym płaszczu, który do tej pory stał na samym końcu, wśród wielmożów zgromadzonych w sali audiencyjnej wawelskiego zamku. Teraz wszyscy zobaczyli go, jak odważnie patrzył w oczy groźnemu królowi Władysławowi Jagielle, klęcząc u jego stóp. Marszałek dworu już chciał wzywać strażę, ale władca go powstrzymał.

- Kim jesteś, młodzieńcze i dlaczego jesteś taki wzburzony? – król zadawał pytania spokojnie i rzeczowo.

- Panie, – mówił jasnowłosy rycerz – Krzyżacy panoszą się na ziemi pomorskiej, jakby od dawna należała do nich, a to przecież nieprawda. Niektóre zamki i przynależne im ziemie kupują, to fakt. Tak było ze Świdwinem i Drawskiem. Ale inne zajmują siłą i podstępem. Potężny Drahim wciąż należy do Korony, a Krzyżacy traktują go jak swoją warownię!

- Nie może być! – odezwał się królewski kanclerz. – Tam przecież rezydują od stu lat joannici. To także rycerze, chociaż zakonni, umieją władać bronią tak samo, jak my, Nie pozwoliliby na to.

- Panie, mieszkam na Pomorzu i widzę, że niegodziwość krzyżacka nie zważa na żadne świętości. Oni mają



sposoby nawet na braci z innych zakonów. Siedzą teraz w Drahimiu i śmieją się z nas w żywe oczy.

Król uważnie przyjrzał się młode-
mu rycerzowi. Jego postawa i szczere,
błękitne oczy utwierdziły doświadczono-
nego władcę w przekonaniu, że mło-
dzień nie kłamie. Zamyślił się Wła-
dysław Jagiełło i po chwili milczenia
powiedział:

- To poważna sprawa. Pozwólcie,
szlachetni panowie, że jej rozwiązania
poszukam w samotności. Zarządzam
kolejną naradę jutro w południe. Że-
gnam panów.

Zdziwieni wielmożowie w milczeniu
opuścili salę, gdy tylko król udał się
na spoczynek. Długo jeszcze w swoich
kwaterach rozmawiali o trudnej sytu-
acji kraju, o Krzyżakach i o zbliżającej
się nieuchronnie wojnie.

Tymczasem sędziwy władca Polski,
z głową pełną niespokojnych myśli, za-
sypiał w swoich komnatach.

- Co mam czynić z tymi Krzyżaka-
mi? Są pod opieką papieża, trudno
z nimi wojować, ale też nie zamierzam
pozwolić, by kawałek po kawałku roz-
kradli mi całą Rzeczpospolitą – rozwa-
żał na granicy jawy i snu.

Nagle w królewskiej sypialni zapano-
wała niezwykła jasność, w głębi której
utrudzony Władysław ujrzał schyloną
nad nim, miłą i dobrą postać.

- Matko? To wy? Skąd się tu wzięli-
ście? Przecież umarliście na Litwie...

- Nie pytaj o nic, mój synu, tylko po-
słuchaj. Wiem, że twą królewską gło-
wę zaprzętają troski o kraj, w którym
przyszło ci sprawować rządy. Jesteś
mądrym władcą, ale teraz sytuacja jest
bardzo trudna i ciężko podjąć dobrą
decyzję. Pokażę ci coś. Patrz uważnie.

Tam, gdzie zwykle była ciężka,
purpurowa zasłona oddzielająca
królewskie łoże od reszty komnaty,
teraz rozciągał się baśniowy niemal
widok. Pośród wiekowej, głębokiej
puszczy, mrocznej nieco, ale przez
to pięknej, widniały dwie lśniące,
błękitne, wyłoczone słońcem płasz-
czyzny. To ogromne jeziora. „Jak
u nas, na Litwie” – pomyślał Jagieł-
ło i zaraz przypomniał sobie czasy
dzieciństwa, beztraskich polowań
i ćwiczenia się w wojennym rze-
miośle. Ciepło się zrobiło na sercu
sędziwemu władcy, łza spłynęła po
jego zoranym zmarszczkami obliczu.
„Więc jest gdzieś jeszcze taka kraina?
Gdzie?” Król patrzył dalej. Pomię-
dzy jeziorami, zobaczył niewielkie
wzgórze, a na nim potężną warownię
z czerwonej cegły i polnego kamienia,
otoczoną kwadratowym dziedziń-
cem, fosą i folwarkiem. „A więc to



■ Jezioro Żerdno

jest to trzecie, co do wielkości jezioro
w okolicach Czaplinka, o powierzch-
ni 205 ha i maksymalnej głębokości
36 metrów. Swoją drugą nazwę – jezio-
ro Srebrne – zawdzięcza żwirom mie-
niącym się w bardzo czystej wodzie.
Nad jeziorem leżą trzy miejscowości:
Stare Drawsko i dwie niewielkie wsie
– Żerdno i Nowe Drawsko.

Prawdopodobnie jeszcze półtora tysiąca
lat temu, jezioro to było zatoką poblis-
kiego jeziora Drawsko. Gdy ówczesni
mieszkańcy ziemi czaplineckiej, zaczęli
budować grody, dostrzegli walory obrone-
ne miejsca, na którym obecnie jest za-
mek Drahim, jezioro zostało częściowo
zasypane, zaś z głazów i ziemi usypano
pagórek, na którym zbudowano gród.



magiczne miejsce jest dobrze strzeżone” – pomyślał niemal bezwiednie doświadczony w wielu wojnach strateg. „Ciekawe przez kogo?” I już obraz się zmienił. Król mógł zajrzeć do wnętrza budowli. Na dziedzińcu zobaczył kowala, który podkuwał jednego z pięknych, rycerskich koni, stojących pod drewnianym zadaszaniem, myśliwego niosącego w stronę kuchni upolowane zające, kucharza czyszczącego wielką rybę. Przed wejściem do zamku stała grupa rycerzy w białych tunikach. „Krzyżacy?! W takiej okolicy?! Nie!”

- Tak, synu. To nie złudzenie. Widzisz swój zamek, w którym zamierzasz na dłużej zagościć ci okrutni, bezwzględni ludzie. To zamek Drahim na Pomorzu. Jestem pewna, że już wiesz, co należy czynić – wyszeptwała świetlista postać i powoli zniknęła w ciemności wawelskiej nocy.

W południe następnego dnia sala audiencyjna znów była pełna szlachty. Król Jagiełło od razu przystąpił do rzeczy.

- Szlachetni panowie! Nie będziemy dłużej znosić uciążliwego sąsiedztwa Zakonu Krzyżackiego na ziemi pomorskiej. Nie pozwolimy, by należący do Korony zamek Drahim znalazł się w rękach niegodziwych zakonników. Nie dopuścimy, by oszustwo i zdrada zwyciężyły w starciu z prawdą i prawem.

- Chwała królowi! Chwała! Chwała! – zabrzmiał mocarny okrzyk ze stu rycerskich piersi. Król kontynuował swą mowę.

- Wojska moje natychmiast ruszą na północ i zdobędą pamiętający czasy szlachejnych braci templariuszy zamek Drahim. Nielojalnych lenników – joannitów i ich nieproszonych gości zmuszą do opuszczenia warowni. Zadanie to powierzam doświadczonemu w boju staroście wielkopolskiemu, Tomaszowi z Węgleszyna.

- Chwała!

- Życzeniem moim jest, by po zdobyciu zamku zamieszkali w nim najdzielniejsi polscy rycerze, którzy odtąd bez wytchnienia bronić go będą. Warownię czynię siedzibą Starostwa Drahimskiego, które niniejszym po wsze czasy ustanawiam. Pierwszym starostą zaś czynię... Czy jest wśród was ów młody rycerz, który przysparzając mu sławy desperacją zwrócił wczoraj nasze myśli ku pięknej i ważnej dla Polski Ziemi Czaplineckiej?

- Jestem, miłościwy panie.

- Jak cię zwą, dzielny młodzieńcze?

- Gniewko Wedel, królu. Z pomorskiego rodu Wedłów.

- Oto, wielmożni panowie, pierwszy starosta drahimski, który tamtą ziemię, obfitującą w skarby droższe niż złoto – w odwieczny spokój lasów i nieskałaną urodę jezior, od dziś w swojej pieczy mieć będzie.

Pochyliwszy się nad klęczącym u królewskich stóp rycerzem położył sędziwy król swą dłoń na jego jasnej głowie i rzekł cicho, zamysłony:

- Strzeż tej krainy od wrogów wszelakich i zachowaj ją dla kraju naszego, bo też jest ona piękna jak sen. . .

INA Z DRAHIMIA

Opowiem wam dziś historię z dawnych czasów – tak dawnych, że nawet najstarsi mieszkańcy Czaplinka nie mogą jej pamiętać. Pytacie, skąd ja ją znam? Opowiedziały mi ją mury Zamku Drahim, który często odwiedzałam ostatniego lata. Jeździłam tam z moją ciotką i siostrą. Wkładałyśmy długie, średniowieczne suknie, po czym zajmowałyśmy się dawnymi rzemiosłami i rozrywkami, które były popularne w czasach świetności zamku. Może właśnie dlatego pewnego razu, gdy usiadłam zmęczona na drewnianej ławie, usłyszałam tę tajemniczą opowieść. Posłuchajcie.

Działo się to sześćset lat temu, na początku XV wieku. W Polsce panował wtedy król Władysław Jagiełło, a w Drahimiu... Właśnie o tym będzie mowa.

Od kilku dni w Zamku Drahim zmieniło się prawie wszystko. Dawniej mieszkali tu joannici – tacy rycerze zakonni, którzy znali się równie dobrze na wojowaniu mieczem, jak na uprawianiu ziemi i zarządzaniu majątkiem. Joannici mieszkali w zamku, ale wokół niego był przecież ogromny dziedziniec i mnóstwo zabudowań gospodarczych, w których mieszkała i pracowała zamkowa służba. Niestety, częstymi gośćmi zakonników byli zniechęceni przez okolicznych mieszkańców Krzyżacy. Wszyscy się ich bali, bo ludzie ci byli

okrutni i chciwi. Chcieli nawet zagarnąć dla siebie Drahim, ale na to nie pozwolił polski król. Przysłał tu swoje wojska, które w 1407 roku zdobyły zamek, wyprosiły z niego joannitów i uczyniły tu siedzibę polskiego rycerstwa. I właśnie wtedy rozpoczyna się nasza historia.

Na zamkowym dziedzińcu jak zwykle kręciło się mnóstwo mężczyzn. Kucharze, myśliwi, strażnicy bramy, kowal i młodzi fornale zajmujący się końmi. Było też kilka kobiet, które pomagały przy gotowaniu i praniu. Wśród nich łatwo było dostrzec Inę, gdyż wyróżniała się młodością i niezwykłą urodą. Szczególną uwagę zwracały jej długie, kręcone włosy, na co dzień splecione w skromne warkocze i przykryte białą chustą. Kto jednak choć raz ujrzał dziewczynę z rozpuszczonymi włosami, już nigdy nie mógł jej zapomnieć.

Tego dnia w zamku było wyjątkowo dużo pracy. Mieszkający w nim od kilku dni polscy rycerze zarządzili wielkie porządki i przygotowania do uczy, gdyż wieczorem miał przybyć nowy starosta Drahimia. Nikt go jeszcze nie widział, ale wszyscy chcieli urządzić mu uroczyste i radosne powitanie. Cały dzień minął w wielkim utrudzeniu – trzeba

było powyrzucać stare sprzęty, posprzątać wszystkie komnaty, sprawdzić i uzupełnić zapasy jedzenia, przygotować na dziedzińcu wielką ucztę. Było gorąco, pot spływał strumieniami, ale rycerze i służba starali się zdążyć ze wszystkim przed przyjazdem starosty. Ina także pracowała bez wytchnienia. Teraz zostało jej ostatnie zadanie – przygotować owoce i kwiaty na pański stół. Ustawiła dwanaście wielobarwnych koszy z soczystymi przysmakami, zrobiła małe bukiety przy każdym naczyniu, na środku stołu umieściła wytworną kompozycję z polnych kwiatów i gałązek kwitnących krzewów. Na koniec postanowiła udekorować specjalnie zrobionymi girlandami miejsce, gdzie będzie siedział pan starosta. Wspięła się na drabinę i usiłowała upiąć kwiatowe sploty na drewnianych belkach. Nie szło jej najlepiej. Rośliny wciąż spadały, a ją już ręce bolały od tej roboty. Miała już

wszystkiego dosyć, łzy złości i zmęczenia napływały jej do oczu, gdy nagle usłyszała miły, męski głos:

- Potrzebujesz pomocy, panienko?

Od dłuższej chwili przyglądał jej się przystojny, jasnowłosy młodzieniec w bogatym, wyszywanym złotem stroju i miękkim, błękitnym płaszczu. Oczywiście ona tego nie zauważyła, nie poczuła też, że w trakcie pracy zsunęła jej się z głowy biała chusta, warkocze rozplotły się, a swobodnie rozpuszczone loki wiły się we wszystkie strony jak złote, słoneczne promyki. Młodzieniec był oczarowany tym niezwykłym zjawiskiem, odważył się nawet zapytać:

- Mieszkasz tu? Jak masz na imię?

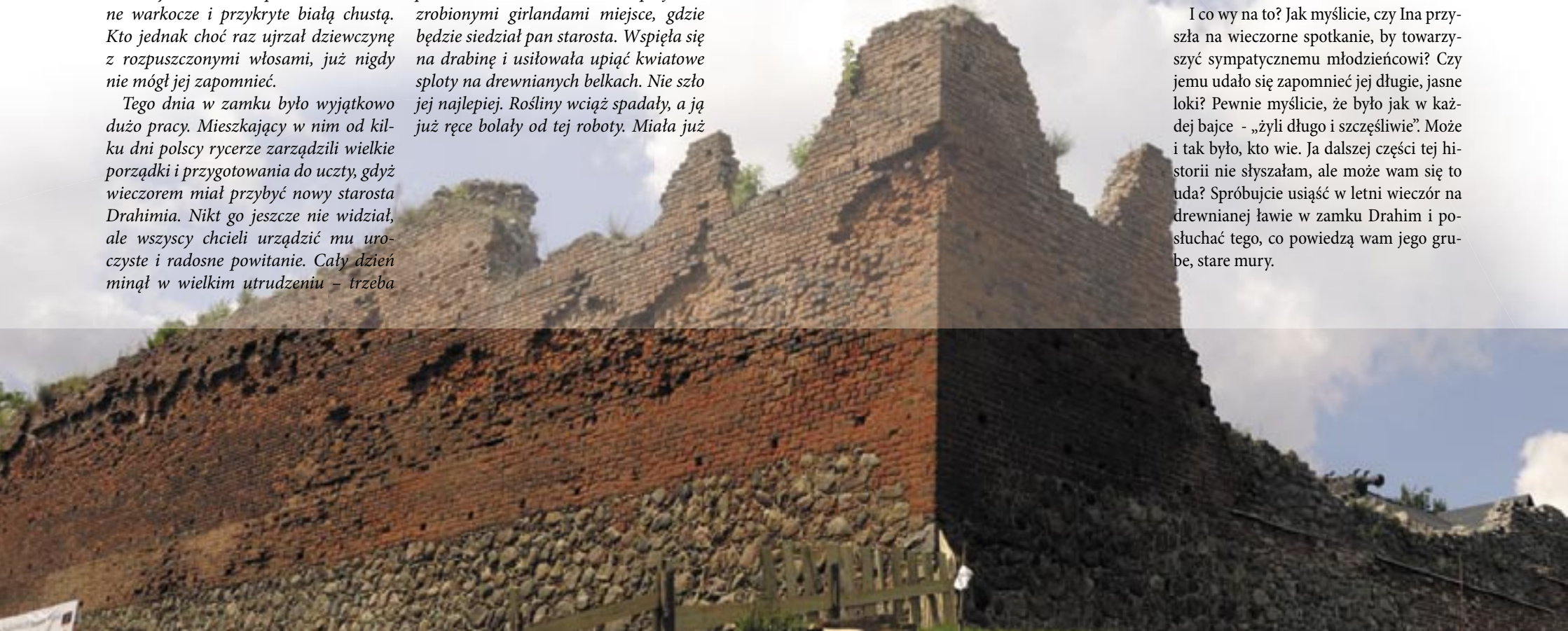
O, nie, tego już było za wiele, Ina zarumieniła się okropnie i najszybciej jak mogła zeszła z drabiny na ziemię. Już chciała uciec, gdy młodzieniec chwycił ją za rękę i powiedział:

- Nie bój się. Jestem tu po to, by wszystkich chronić, a nie po to, by komukolwiek wyrządzać krzywdę. Czy zechcesz mi towarzyszyć w dzisiejszej uczcie?

- Ależ panie, ja... – dziewczyna była tak zmieszana, że nie znalazła słów na odpowiedź.

- Nie możesz mi odmówić. Jestem tu nowym starostą. Pewnie słyszałaś, że dziś przyjadę?

I co wy na to? Jak myślicie, czy Ina przyszła na wieczorne spotkanie, by towarzyszyć sympatycznemu młodzieńcowi? Czy jemu udało się zapomnieć jej długie, jasne loki? Pewnie myślicie, że było jak w każdej bajce – „żyli długo i szczęśliwie”. Może i tak było, kto wie. Ja dalszej części tej historii nie słyszałam, ale może wam się to uda? Spróbujcie usiąść w letni wieczór na drewnianej ławie w zamku Drahim i posłuchać tego, co powiedzą wam jego grube, stare mury.



CHMURY I MURY

Dzień kończy się najpiękniej właśnie tutaj, na tej starej ławce przed chatą, na brzegu jeziora, które jest jak cichy i wierny towarzysz całego mojego życia – myślał Paweł w letni, czerwcowy wieczór. Wspierając się na wysłużonym, solidnym kosturze człapał powolutku po piaszczystej ścieżce, zapatrzonej w jednolitą niebieskość nieba i wody przed sobą. Naprawdę lubił te długie, letnie zachody słońca, kiedy wielobarwne chmury układały się w obrazy, jako żywe przypominające sceny z jego dawnego życia.

- To dziwne – snuł swe rozważania, - nie pamiętam, co wczoraj podano mi na wieczerzę, a historie z młodości widzę, jakbym je dziś przeżywał. Ten czas spędzony w zamku drahimskim wciąż do mnie wraca. Może dlatego, że niebo nad moim jeziorem tak często wieczorami przybiera kolor murów tamtej warowni? Kiedy słońce schowa się za wodą cała przestrzeń przede mną staje się jakby dziedzińcem zamkowym, wypełnionym codziennym życiem służby i rycerzy. Przez cały dzień stajenni, kucharze, kowal, bramy i wszyscy służebni wielmożnych panów krzątali się wokół swoich obowiązków, ale malowane słonecznymi barwami wieczór przynosił ukojenie i spokój.

Siadało się wtedy wokół ogniska, gawędziło, śpiewało stare ballady. Było pięknie...

Zadumany starzec usiadł powolutku na swej ławeczce nad wodą, podniósł otoczoną bielusienkami, spływającymi na ramiona włosami twarz do łagodnego o tej porze słońca i zmrużył oczy. Tak lubił trwać czasem godzinami. Chmury i mury złączone w jedno migotały wtedy pod powiekami, obrazy z przeszłości zmieniały się lub zatrzymywały na dłużej, wracały dawne zdarzenia, ludzie, emocje. O, teraz też.

Siedzą sobie obaj z ojcem na zamkowym dziedzińcu, przeglądają łowieckie sieci, które jutro przydadzą się w ich porannej wyprawie. Co dzień o świcie wyruszali obaj albo nad jezioro, by nałowić ryb, albo w okoliczne ogromne lasy, by upolować jakąś zwierzynę na rycerską wieczerzę. Ojciec był milczkiem, w czasie porannych, łowieckich wypraw prawie więc nie rozmawiali. Dopiero wieczorem, gdy ustawał zamkowy gwar, opowiadał o swych dawnych przygodach w okolicznych puszczech albo o czasach, gdy w Drahimiu mieszkali jeszcze zakonni bracia joannici. Paweł nigdy nie pytał – słuchał tylko i zapamiętywał. Na wszystkie pytania i tak człowiek musi sobie sam odpowiedzieć. Jak już sam wszystko zrozumie...

Kiedyś do drahimskich lochów rycerze wtrącili młodego rycerza z Lo-

taryngii, który pragnął zdobyć sławę w walkach Saracenami u boku dzielnych, jak mniemał Krzyżaków. Jakież było jego zdziwienie, gdy przebywając całą wiosnę w niewoli, napatrzył się i nasłuchał opowieści o tym, co owi zakonni bracia potrafią uczynić swoim chrześcijańskim bliźnim! Rycerzyk, jako szlachetnie urodzony, kierujący się honorem, mógł w oczekiwaniu na okup, poruszać się swobodnie po zamku. Wtedy się zaprzyjaźnili. Paweł najbardziej lubił słuchać, kiedy tamten grał na małej, drewnianej fujarce chwytające za serce, stare melodie, czasem śpiewał w niezrozumiałym tu języku o swej tęsknocie do dam i wielkich bitew. Tak jak teraz. Siedzą sobie obaj na dziedzińcu koło studni, jeden gra, drugi słucha i marzy. Dam nie było w drahimskiej warowni, ale wielkie bitwy się zdarzały. Tak, ta w której uczestniczyły wojska króla Jagielly była największa i najważniejsza. Wcześniej oddziały krzyżackie albo drużyny okolicznych wielmożów wielokrotnie próbowały dostać się do zamku, ale nigdy im się to nie udało. Wiadomo, zaprojektowane przez genialnych templariuszy mury drahimskiego kasztelu były po prostu niezdobyć. Ataki kończyły się co najwyżej serią wyzwick i kradzieżą zwierząt z folwarku. Ale nie było tak wtedy, gdy tę warownię postanowili opanować ci okropni drawszczanie. Ich miasto kupili Krzyżacy, więc oni sami stali się w tym momencie wrogami Korony.

Nie powinni się więc dziwić, że oddani ojczyźnie i królowi rycerze z polskiej załogi Drahimia traktowali ich, jak na to zasłużyli – napadali na ich kupieckie wyprawy, łupili wsie, porywali i więzili przejeżdżających po polskim terenie mieszczan. Kiedyś nawet uwięzili w naszych lochach samego pana Wegenera Wedla z pobliskiego Złocieńca! Najwięcej się działo, kiedy starostą był pan Dobrogost, a dowódcą zamku pan Dobiesław. To dopiero był zgrany duet, uwielbiający bitwy, potyczki i pojedynki, które sami w okolicznych puszczech często inicjowali. Wędrujący po leśnych ostępach Paweł nieraz widział, jak mężni i bezwzględni dla wrogów bywali obaj panowie i poddani ich dowództwu rycerze. Aż miło było popatrzeć, jak polska drużyna zawsze zwycięsko kończyła każde spotkanie z krzyżakami poddanymi. Gorzej, że nie bardzo się to podobało mistrzowi Zakonu, który wiecznie skarżył się a to naszemu królowi, a to papieżowi, a to cesarzowi. Całe szczęście, że polska załoga Drahimia robiła swoje, bez względu na to, czy akurat trwała wojna, czy już nie. Tu, na pograniczu, zawsze słychać było szcęk oręża, który Pawłowi, choć nie był rycerzem, tylko myśliwym i rybakiem zamkowym, bardzo się podobał.

Nad zmrużonymi oczyma starca brwi zsunęły się w groźnym zamysle. Drawszczanie... To straszni ludzie. Postanowili zebrać swój oddział wojska i pod nieobecność pana starosty



■ Pomnik Rybaka

usytuowany na czaplineckim rynku kojarzony jest z postacią Pawła Wasznika, który wg kroniki Jana Długosza pomógł w 1422 r. polskim rycerzom króla Jagiełły zdobyć zamek w Drahimiu wciągając do zamku rycerzy polskich przy użyciu sieci. Przy rzeźbie znajduje się tablica przypominająca to wydarzenie.

i całej drahimskiej załogi, podstępem opanować zamek. To był najgorszy dzień w życiu Pawła, który wróciwszy z połowów zastał w zamku obcych ludzi. Z wulgarnym śmiechem przyjęli jego powrót z koszem dorodnych ryb i kazali kucharzom natychmiast je przyrządzić. Bez wiedzy pana starosty

Kiedy próbował oponować, kazali pachołkom zbić go straszliwie i zamknąć w jego izdebce „dopóki nie skruszeje”. Tak zaczął się najstraszniejszy rok w życiu Pawła Wasznika, rok służby znienawidzonym, okrutnym drawszczanom, którzy rozpanoszyli się w zamku drahimskim jak u siebie. Gościli w nim nawet Krzyżaków, którzy wielokrotnie przybywali tu na jakieś ważne rozmowy. Paweł do dziś wzdryga się na myśl, że upolowana przez niego zwierzyna i złowione w pobliskich jeziorach ryby wędrowały na stół tych strasznych ludzi. Siedzi teraz w złotym blasku czerwcowego, zachodzącego słońca, a w kościach czuje mróz prawdziwy jak, wtedy, gdy całymi nocami przemysłował w swej zamkowej izdebce jak powinien się zachować w tych nieludzkich czasach, jak dokonać wyborów, komu służyć.

Chmury nad wyzłoczoną taflą jeziora Drawsko pociemniały, nasycone fioletem, rudym brązem i purpurą. Starzec trwał w bolesnym zamysle. Kiedy świetliste promienie przebiły ciemniejącą zasłonę obłoków, wyprostował się nagle, a twarz rozjaśniła się uśmiechem. Pewnie przypominał sobie tamtą noc...

Przez okienko swej izdebki w rogu zamkowego dziedzińca widzi kochane, polskie wojsko, przysłane tu przez króla Jagiełłę po to, by przepędzić drawszczan i znów w Drahimiu zaprowadzić porządek. Widok rycerzy, giermków, sztandarów i koni napawa

serce wiernego rybaka nadzieją. Kłopot w tym, że uprzedzeni o nadciągającym wojsku drawszczanie przygotowali się do odparcia ataku. Nie było to trudne, bo drahimska warownia, sto lat temu wzniesiona przez templariuszy i joannitów, była właściwie nie do zdobycia. Wystarczyło zamknąć bramy, podnieść most i trzymać drużynę łuczników na murach. Nikt tu nie wejdzie, jeśli w środku jest broniąca się załoga. Ale przecież tu w zamku, a właściwie na jego dziedzińcu jest jeszcze on – Paweł Wasznik, który owych „obrońców” szczerze nienawidzi. Nie ma co prawda miecza, ale myśl ludzka też bywa groźną bronią. Przez małe okienko da się wypuścić miękkie sieci, po których cichutko wejdzie na wysokie mury kilku polskich rycerzy, ci po chwili otworzą bramę od środka i...

Słońce już dawno schowało się za wyspę Bielawę, na cichej tafli obudziły się drobne, gadające z nabrzeżnymi kamieniami fale, chmury odstąpiły rozbłyskujące pierwszymi gwiazdami niebo, a biała głowa wspartego na wysłużonym kosturze starca, uśmiechniętego człowieka wciąż była dobrych myśli i obrazów. Polscy rycerze, nowy starosta Jan Jarogniewski, wizyta samego króla, nagroda... I on sam, jeszcze młody, pełen sił i chęci do pracy, do służby wesolej, polskiej załodze najwspanialszego w okolicy zamku – Paweł Wasznik z Drahimia.



LITEWSKI WILK

Każdy, kto odwiedził niedawno zamek Drahim, wie doskonale, że oprócz ludzi mieszkają w nim i zwierzęta. Przed bramą skubie trawę goza, po dziedzińcu kicają puszyste, małe króliki, pomiędzy ogromnymi, drewnianymi tronami przy starodawnych stołach kręci się tajemnicza, czarna kotka. Jeśli ma się szczęście, można też tam spotkać łagodnego, starego wilka, który wita z zaciekawieniem zwiedzające zamek dzieci albo wchodzi na siedemsetletnie mury i z góry ogląda to, co dzieje się na zamkniętej przez nie przestrzeni. To nie jest zwyczajny pies. Opowiedzieć wam o nim?

Dawno, dawno temu w dalekiej Litwie żył mądry i dzielny książę. Jako syn władcy tego kraju z zapalem ćwiczył się w rycerskim rzemiośle i zdobywał wszelką, dostępną na wileńskim dworze wiedzę o świecie. Najbardziej jednak lubił spędzać czas na polowaniach, w dzikich, niezmiernych puszczech, których w jego kraju w owych czasach nie brakowało. Koń, psy, łuk na ramieniu i nadzieja na ekscytujące przygody w leśnych ostępach, wśród jezior i nietkniętych ludzką stopą mokradel – to było coś, co najszybciej pobudzało wyobraźnię młodzieńca. Tak też minęła mu szczęśliwa młodość. Przyszedł jednak czas na podjęcie po-

ważnych życiowych zadań. U progu dojrzałości książę z Litwy ożenił się z młodą polską królową Jadwigą i sam został królem sąsiadującego z Litwą kraju. Kiedy opuszczał swój rodzinny zamek w Wilnie, księżna Juliana, jego matka, na pożegnalnym spotkaniu ofiarowała mu niezwyklej prezent. Był nim mały, śliczny wilczek z prawdziwego, dzikiego, litewskiego boru.

Władysław Jagiełło od 1386 do 1436 panował w naszym kraju. Zastąpił jako pogromca krzyżackiej potęgi, która skruszył w słynnej bitwie pod Grunwaldem. W tym samym czasie w zamku Drahim ustanowił polski starostwo, w którym osadził załogę złożoną z mężnych, pełnych rycerskich cnót, miłujących kraj, wiernych swemu władcy żołnierzy. Pod koniec życia, gdy doszedł do sędziwego jak na średniowiecze wieku 75 lat, postanowił osobiście tę graniczną, północno – zachodnią warownię odwiedzić. Przyjechał do Drahimia w roku 1426. Przebywał tu podobno kilka dni. Słuchał rycerskich opowieści, nadzorował prace starosty, pisał listy do krzyżackiego mistrza w sprawie uwięzionych w drahimskich lochach zbiegów. Znalazł też czas na ulubioną od młodości rozrywkę – na polowanie. Podobno zauroczony pięknem puszczy wokół Drahimia oderwał się od wiecznie mu towarzyszącej świty i długo wędrował samotnie nad brzegami malowniczych jezior. Właściwie nie był sam. Był z nim wierny jak cień, jak dobry anioł,

jak pamięć o matce – wilk. Ten sam, który przyjechał z nim z Litwy, ten sam, z którym tak lubiła się bawić dawno zmarła żona Jadwiga, ten sam, który leżał u jego stóp, gdy przyszło mu podejmować najtrudniejsze, królewskie decyzje. Ludzie dziwili się, że się nie starzeje, że mimo mijających już trzydziestu lat od chwili wyjazdu z Wilna wilk wciąż pełen sił wiernie towarzyszy każdej wędrownicy władcy. „To nie jest zwykłe zwierzę” – mawiali i ostrożnie schodzili mu z drogi, nie zadając niepotrzebnych pytań. Teraz też tajemniczy przyjaciel położył się u stóp królewskich, gdy zmęczony całodzienną wędrówką po lasach władca usiadł na zwałonym pniu drzewa na brzegu jeziora Żerdno. Patrzył w oczy swego pana długo, intensywnie, jakby z prośbą.

- Wiem wszystko, przyjacielu – powiedział cicho Władysław Jagiełło, pogromca Krzyżaków, dobry i mądry król Polski. – Przecież widzę, że ta ziemia wokół Drahimia jest taka sama, jak nasza litewska ojczyzna, tak samo nieprzebyte w niej lasy, tak samo urokliwe jeziora, tak samo dobrzy ludzie w ubogich, rybackich chatkach. Tak ja też najchętniej bym już stąd nie wyjeżdżał, zamieszkał w zamku i kołł dusze cisza i spokojem. Ale tron to zobowią-

zanie do grobowej deski – muszę wracać na Wawel.

Wilk poruszył się niespokojnie, położył łapę na kolanach swego pana, zaskamlał żałośnie i dalej wpatrywał się w mądre, zamysłone teraz oczy władcy.

- No co tam stary? Co mogę dla ciebie zrobić? – mówił dalej zatroskany sprawami kraju król. – Sam widzisz, że czas na nas. Jutro czekają nas w Wałczu, potem w innych warowniach. Ta ziemia potrzebuje królewskiego nadzoru, wsparcia, dobrych, przemyślanych decyzji. Musimy jechać. Zaraz, zaraz, może masz rację, może powinność dotyczy tylko mnie?

Zadumał się potężny władca, zapatrzył w zalane srebrną, księżycową poświatą fale jeziora i powiedział:

- Dobrze, przyjacielu. Zostań tutaj. Strzeż tej ziemi, jak strzegłeś przez całe życie mnie. Ja ruszę dalej sam. Zawsze przecież pozostaną w moim sercu słowa ukochanej, mądrej matki: „Bądź dzielny. Idź”.

Nazajutrz królewski gość ze swą bogatą świtą opuścił mury zamku Drahim. A wilk? Jest tu do dziś. Strzeże tej ziemi, jak przykazał mu jego pan. Nie wierzycie? Przecież sami widzieliście go na murach. Może nawet pozwolił wam się pogłaskać i zajrzeć w łagodne, litewskie oczy?

LEGENDA ZNAD JEZIORA
DOŁGIE WIELKIE

ZŁOTY MOST

W rycerskiej warowni w Drahimiu zawsze było gwarno i ludno. Najdalej na północ wysuniętego polskiego starostwa musieli przecież strzec najdzielniejsi młodzieńcy Rzeczypospolitej. Fakt, byli odważni, waleczni, w boju niezwyciężeni, ale gdy tygodniami całymi w starostwie panował spokój i nie było z kim się bić, rycerzy rozpieszczała energia i ... Ich wieczory w warowni między jeziorami Drawsko i Żerdno często pozostawiały wiele do życzenia.

Nie lubił tych hałaśliwych rozrywek niedawno pasowany przez samego króla Władysława Jagiełłę Gracjan – rycerz o białych włosach. Przybył tu, na rubież Rzeczypospolitej, by bronić ojczyzny i zdobywać rycerską sławę, ale naturę miał spokojną, może nawet zbyt spokojną, jak na towarzystwo, w którym się znalazł. Kiedy więc słońce chyliło się ku zachodowi, szukał ciszy i samotności. Siodłał konia i ruszał w nieznaną. Piękne o każdej porze roku lasy i połyskujące księżycowym blaskiem jeziora pozwalały młodzieńcowi zanurzyć się w rozmyślaniach i marzeniach.

Pewnego popołudnia zatrzymał się na polance przy brzegu niewielkiego, wąskiego jeziora o ciemnej, bo zesząd



otoczonej wysokimi drzewami toni. Stanął na wolnym od zarośli cypelku i zapatrzył się w purpurową tarczę zachodzącego słońca.

- Jak tu cicho i pięknie – myślał. - Chciałbym tu zostać. Na zawsze.

Zachodzące słońce utkało ze swych promieni długi, złoty most, połyskujący kusząco na ciemnej toni jeziora.

- To niewiarygodne! – westchnął młody rycerz, gdy na owym złotym moście pojawiła się równie złocista, lśniąca czerwieni sukni i długimi, długimi włosami dziewczyna. Szła do oniemiałego z wrażenia Gracjana uśmiechnięta, promienna, śliczna.

- Kim jesteś? – zawołał w końcu.

- Mówią mi Miła, Miła, Miła...

- usłyszał. A może mu się tylko zdawało, bo dziewczyny już nie było. Znikał też, wraz ze słońcem, złoty most, po którym szła.

- Oj, dziwy, dziwy – mruknął niezadowolony z zapadającej ciemności młodzieniec. – Przyjdę tu jutro. Może znów ją zobaczę?

Tak też się stało. Nazajutrz purpurowy władca nieba znów rozpiął swój złocisty most, a świetlista, długowłosa piękność uśmiechała się kusząco...

- Chodź do mnie, Miła – zawołał rycerzyk. – Porozmawiajmy. Pobądź ze mną trochę dłużej. Proszę.

- Nie mogę zejść z mostu, Gracjanie. Ale ty możesz przyjść do mnie... – zaszumiała świetlista pani i znikła jak

pomarańczowa kula słońca za czarnym horyzontem.

- Przyjść do niej/ Jak to? – gorączkowe myśli oplątywały umysł wrażliwego młodzieńca. – Przecież tam jest woda, utonę, bo zwykli ludzie nie mogą chodzić po jeziorze.

„Możesz przyjść do mnie... Możesz...” – dźwięczało mu w głowie przez cały wieczór i bezsenną, pełną szarpiących duszę myśli noc.

- Na pewno mi się zdawało – powiedział na głos o świcie i postanowił to sprawdzić raz jeszcze.

Wieczorem znów stał na cypelku nad jeziorem, patrzył z niepokojem na różowiejące niebo i czekał na swą ukochaną.

Jest! Idzie, płynie jak anioł, pogodna jasna, dobra!

- Możesz... Wejść na złoty most... Będiesz panem tego jeziora... Będiesz ze mną... Na wieki... – szeptała.

I Gracjan wszedł.

I został w tym tajemniczym, mroczno – złocistym miejscu na zawsze.

Kiedy posiedzisz cierpliwie na cypelku nad jeziorem Dołgie Wielkie, przyplynie do ciebie biały łabędź. Nie wejdzie na ląd. Opłynie brzeg dostojnie, władczo, spojrzy groźnie, jakby sprawdzał, czy nie chcesz zrobić niczego złego, jakby strzegł tego pięknego zakątka. Odplynie. Zniknie nie wiedzieć kiedy. Zawsze sam. Zawsze jakby zapatrzonej w urodę lasu, jeziora i nieba.

Samotny, zamyślony, biały Gracjan.



PODZIEMNY KORYTARZ

Przejeżdżając przez Siemczyno nie można nie zauważyć kościoła o eleganckiej, strzelistej sylwetce, jakby zbyt wytwornego dla tego miejsca. Po drugiej stronie drogi uważny obserwator dostrzeże...

Tak! Prawdziwy osiemnastowieczny pałac, z kolumnami przed wejściem, otoczony zabytkowym parkiem, w którym drzewa chylą się ku sobie, jakby szepcząc opowieści sprzed kilku wieków.

Dawniej żył na tej ziemi potężny, magnacki ród Goltzów, z którym musieli się liczyć wszyscy polscy królowie. Od średniowiecza Goltzowie władali krainą lasów i jezior, a w XVIII wieku zbudowali sobie siedzibę na miarę potęgi swego rodu – pałac wzorowany na Wersalu. A że byli to ludzie szlachetni i pobożni, w ostatnim roku XVII wieku, nieopodal swej pierwszej siedziby kazali zbudować kapliczkę. Była niewielka, ale służyła całej społeczności wiejskiej. Co niedziela okoliczny lud schodził się tu, by dziękować Bogu za życie, zdrowie i rozumiejących ludzką biedę panów.

*Myślicie,
że opowiadam jakieś bajki?
Mówicie, że to niemożliwe,
by gdzieś na świecie było tak dobrze?*

*Tak.
Teraz dopiero opowieść się zacznie.*

Kapliczka, którą można zobaczyć osobiście odwiedzając, była misterna jak rodowy klejnot – z zewnątrz skromna, z wysoko umieszczonymi, witrażowymi oknami i wąskimi drzwiczkami. W środku zaś – prawdziwe cacko – bajecznie kolorowe, malowane ściany, złote gwiazdki na granatowym jak noc suficie, mnóstwo rzeźbionych, świętych figurek, kwiatów i rodowych ornamentów. Do tego niezwykłego pomieszczenia, przez maleńkie, umieszczone w zakrystii drzwiczki, pozwolono wchodzić tylko jednej osobce – kilkunastoletniej córce organisty. Miała kapliczkę sprzątać i dekorować co niedziela świeżymi kwiatami, a przed mszą zapalać świece. Aby je pogasić, dziewczyna mogła wrócić dopiero po zachodzie słońca.

Dziwne, prawda?

Ale córka organisty o nic nie pytała. Była szczęśliwa, że może przebywać w tak pięknym, jej zdaniem najpiękniejszym na świecie, miejscu.

Pewnego razu jednak, gdy już rozpoczęła się niedzielna msza święta, dziewczyna przypomniała sobie, że nie zapaliła jeszcze świec.

- Co robić? Co robić? – myślała przerażona. Ksiądz zaraz wychodzi do ołtarza, ojciec zaczyna już grać pieśń na wyjście, państwo jak zwykle w pierwszym rzędzie klęczą, zapatrzeni w święte obrazy, kościół pełen lu-

dzi... Może by się przemknąć i zapalić te nieszczęsne świece? Ale czy zdąży? Jest ich tak wiele...

Cichutko otworzyła wąskie drzwiczki i...

Prawie krzyknęła z wrażenia. Przed ołtarzem, obok rozmodlonych państwa Goltzów, na pięknym, obijanym aksamitem foteliku, siedział złotowłosy chłopiec! Wpatrzony w promienie słońca, barwione witrażowymi szybkami, nie od razu ją zauważył. Był taki spokojny, miał niesamowitą, jasną, dobrą twarz...

Tylko dlaczego się nie ruszał?

Od stóp aż po ramiona przykryty tkanym złotą nitką pledem, wyglądał jak figurka odpoczywającego po locie anioła. Ta jego jasna, promienna twarz...

Dziewczyna, chcąc sprawdzić, czy jej się to nie śni, dotknęła delikatnie złotych włosów chłopca. Ten ocknął się, uśmiechnął i zapytał po prostu:

- Kim jesteś?

Tak zaczęła się tajemnicza historia córki siemczyńskiego organisty i Fryderyka – kalekiego potomka rodu Goltzów, którego rodzice chronili przed nie zawsze tolerancyjnym światem jak umieli i mogli. Wybudowali nawet wrażliwemu na piękno, niezwyktemu chłopcu specjalną kaplicę, by mógł, tak jak wszyscy, co niedziela uczestniczyć w świętym obrzędzie. Nie chcieli jednak, by ktoś oglądał jego nieruchome nogi i krzywe, niesprawne ręce. Kazali zbudować podziemny korytarz, łączą-

cy pałac z kaplicą, by Fryderyk miał własną drogę do świata i świętości.

Wiejska, skromna dziewczyna polubiła złotowłosego, nieruchomego chłopca o pięknej twarzy. Robiła wszystko, by spotkać się z nim choćby w czasie niedzielnej mszy. Fryderyk polubił ją także.

Pewnej jesieni chłopiec umarł. Córka organisty zamiast niego zobaczyła w kaplicy srebrnego gołębia z kilkoma złocistymi piórkami na grzbiecie. Tym razem też o nic nie pytała.

Ludzie w Siemczynie powiadają, że odkąd i ona nie żyje, w kaplicy co niedziela słychać gruchanie pary gołębi. A czasem nawet można je zobaczyć, jak znikają w tajemnym, podziemnym korytarzu.



■ Pałac w Siemczynie

wzniesiony został w latach 1722-26 przez Henninga Berndta von Goltza, w stylu klasycystycznym, wraz z pięknym, stylowym parkiem z epoki oraz przypałacowym folwarkiem. Wnętrza urządzone zostały w konwencji barokowej. W roku 1796 pałac został rozbudowany z inicjatywy Henryka Augusta von Arnim. W ciągu swojej prawie trzysetletniej historii wielokrotnie zmieniał właścicieli, a po II wojnie światowej został upaństwowiony. W latach 1950 - 1985 funkcjonowała w nim szkoła podstawowa. Od roku 1990 jest własnością prywatną. Obecnie wchodzi on w skład kompleksu turystycznego oraz konferencyjno - wypoczynkowego.

WYSPA SKARBÓW

czyli gawęda o Bielawie

Gdziekolwiek jesteś i kimkolwiek jesteś, zamknij na chwilę oczy, pozwól twojej codzienności zniknąć i zobacz j e z i o r o . . . Niech będzie Jezioro Drawskie. W Czaplunku.

Gdziekolwiek spojrzysz – wielka przestrzeń błękitu, wody i nieba, wyłożona słońcem jak rycerska zbroja, z szablą ciemnej zieleni na horyzoncie.

A tam w oddali – w y s p a . . . Tajemnicza niedostępna Bielawa, jak ciemna, baśniowa szklana góra, kusząca, jak średniowieczne zamczysko.

Ruszasz?

Ruszaj. To twoja przygoda.

Niech twoim Rozynantem będzie smukły, biały stateczek „Europa”, niech cię poniesie przez ten złocisty błękit w niezmierzoną dal przygody i fantazji. Godzinę na jego grzbiecie spędzisz w ciszy i zamyśleniu nad ogromem spokoju świata, w który wkraczasz.

Spokoju?

Hej, chłopie! A widzisz te ptaki, malowniczo krążące nad wodą? Jak myślisz, czym się żywią?

Spoglądasz w przejrzysta toń, widzisz zarośla, ryby – i te małe, przemykające obok burty wielkimi grupami, i te ogromne, samotne, groź-



■ Wyspa Bielawa

położona jest w północnej części jeziora Drawsko, ok. 500 metrów w linii prostej od Starego Drawska. Wyspa jest piątą, co do wielkości wyspą śródlądową w Polsce. Na wyspę można dostać się wypożyczając sprzęt pływający lub wybrać się na wycieczkę jednym z dwóch stateczków spacerowych.

ne... Chciałbyś być teraz w wodzie? Chciałbyś pogłaskać tego na przykład szczupaka? A widziałeś kiedyś, jaką ma szczękę? Spokojnie. Póki co, płyniemy dalej na grzbiecie „Euro-py”. Żeby za dużo nie myśleć, możesz posłuchać opowieści kapitana. Ten o Jeziorze Drawskim wie wszystko –

że wygląda jak rozciągnięta, polodowcowa gwiazda,

że obejście jego brzegów zajmuje trzy dni,

że ma podobno drugie dno na głębokości ponad stu metrów,

że ta zatoka nazywa się Rękawicka i tam najlepiej biorą liny, a tamta

Magistracka, to przepiękne miejsce na biwak.

Jak będziesz dociekliwy, kapitan opowie ci o niesamowitym, prehistorycz-

nym krabie, żyjącym w największych głębiach tego jeziora. To r a k d y l u w i a l n y - stary jak dinozaur i skutecznie skrywający się przed szukającymi przygód młodzieńcami. Może gdybyś był naukowcem, miałbyś szansę spotkania oko w oko z tym potworem, ale tymczasem...

Popatrz, Wyspa Kormoranów. Paskudna, co? Te chronione w Polsce ptaki, pożerające codziennie ogromne ilości ryb, uczyniły z wyspy pogorzeliśko. Mieszkają na drzewach, a ich odchody wypalają wszelką zielen. Tak, rycerzu, to co romantyczne, często okazuje się być okrutnym z naszego, ludzkiego punktu widzenia.

Dopływamy do Bielawy.

- To wyspa? – dziwisz się. – Jest ogromna jak łąd!

- Tak, ma 80 hektarów powierzchni, jest jedną z największych wysp śródlądowych w Polsce. Żeby ją obejść wyznaczonym szlakiem, potrzebujesz dwóch godzin!

Czuwaj i strzeż się, bo las tu ogromny i stary, pełen przyrodniczych skar-bów.

W wilgotnych miejscach znajdziesz bez trudu ropuchę szarą albo żabę moczarową. Zostaw je w spokoju. Szukaj dalej.

Popatrz w górę i posłuchaj: rudzik, wilga, zięba, kowalik, drozd, trznadel, szpak.



■ Jezioro Drawsko

największe jezioro na Pojezierzu Drawskim i dwunaste pod względem wielkości w Polsce. Jedną z osobliwości jeziora Drawsko jest stwierdzone przez naukowców występowanie reliktowych, polodowcowych małych skorupiaków, wchodzących w skład zooplanktonu będącego podstawowym pożywieniem ryb planktonożernych.

A nad wodą inny ludek, piękny i wojowniczy srodze: perkoz dwuczuby, krakwa, gągoł, nurogęś, trzciniak, potros, kania rdzawa, błotniak.

Spotkanie ich to niesamowite przeżycie. Wierz mi.

Ale najpiękniej jest wspiąć się na wysoką, zbudowaną z grubych, drewnianych bali wieżę... Jeśli potrafisz być cicho i nie ruszać się przez pół godziny, możesz zobaczyć wędrujące obok wieży dziki, spożywające leśny podwieczorek, wytworne sarny albo rozrabiające na łące zające. Albo królewski, władczy lot orla bielika.

Otwórz oczy, rycerzu. Wracaj. I szybko sprawdź na mapie, jak daleko masz do Czaplinka.



GAWĘDY
– teksty krasomówcze

POD WIELKIM DACHEM NIEBA

Mam na imię Ania. Jestem z Czaplina. Właściwie mieszkam na granicy miasteczka, ciągnących się po horyzont pól, niewielkiego lasu i ogromnego jeziora. To piękne miejsce wybrali kilka lat temu moi rodzice, by zbudować tu dla nas dom. Tu jest teraz środek mojego świata. Świata, który uwielbiam poznawać, świata, który kocham.

Kiedy mam wolną chwilę, biegnę do stajni, w której mieszka Nutka – moja ulubiona klacz. Czyszczę ją, siodłam

i ... ruszamy. W którąkolwiek stronę byśmy się nie skierowały – jest pięknie, bo mój świat składa się z zieleni, złota i błękitu, z pokrytych lasami polodowcowych pagórków, ze zbożowych pól, jak u Mickiewicza „wyzłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem” i błękitu błyszczących tu i ówdzie luster jezior, w których odbija się niebo.

Powiedziałam „niebo”? Tak, czasami myślę, że mieszkam w raju. W rajskim ogrodzie, do którego wejścia pokazuje mi moja kara klacz Nutka. Ilekroć pozwolę jej nieść mnie swobodnie po polnych i leśnych ścieżkach, znajdujemy miejsca bajeczne. Przykład? Proszę bardzo.

Pewnego razu znalazłyśmy się nad maleńkim, podłużnym jeziorkiem Ną-

tlino. Był letni wieczór, słońce barwiło już po swojemu horyzont, a ja stałam jakby w środku trójwymiarowego obrazu. Po lewej, w dolince – otoczone trzcinami jeziorko, wyłoczone teraz zachodzącym słońcem, z łagodnie falującą, ciepłą – jak to latem – wodą i czarną sylwetką drewnianej łódki starszuszka wędkarza. Przede mną piaszczysta, wygrzana upałem dróżka, poprzecinana cieniami zdziczałych wiśni i grusz ulęgatek. Dalej – jak okiem sięgnąć – ciemna zieleń starego lasu, za którym przycupnęła wioska Kołomąt. Po mojej prawej stronie – wysokie zboże, przykryte puszystą sukienką łąki, jak na impresjonistycznych obrazach upstrzoną fioletem ostów, bielą rumianków i rudością krwawników. Na

szczytce – szpaler brzoź – smukłych strażniczek nieba z białymi kwiatami obłoczków w swoich zielonych, rozpuszczonych na wietrze włosach. „Trwaj, chwilo! Jakże jesteś piękna!” – chciałoby się zacytować romantyka Goethego. Ale kto by to usłyszał? Moja klacz Nutka? Hmm, czasem myślę, że ona jest mądrzejsza ode mnie.

Innym razem zaniósł mnie w dość ponure miejsce. Też nad jeziorem, tym razem zewsząd otoczonym starym, bukowym lasem. Wysokie drzewa ocieniały jego brzegi tak, że woda była ciemna, niemal stalowa, mroczna, wydawała się groźna, zaś brzegi były czarne, błotniste, porośnięte szuwarami i wyższymi od człowieka pokrzywami. To był raj, ale... dla komarów. Stanęłyśmy tam na

małym cypelku, zagapione w przebłycki słońca odbijające się w niezycziwym zwierciadle wody, gdy nagle podpłynął do nas łabędź. Był sam. Majestatyczny, cichy, wyniosły. Patrzył na nas uważnie, jakby sprawdzał nasze intencje, jakby był strażnikiem spokoju tego miejsca, jego ponadczasowej niedostępności. Jakby nie życzył sobie najmniejszej ingerencji człowieka w ten skończenie piękny, harmonijny świat natury. Nie śmiałyśmy się ruszyć ani odezwać. Po chwili odpłynął, zniknął wśród trzciny, a ja i Nutka ruszyłyśmy w drogę zamysłone.

Cywilizacja? Tak, chętnie, ale takich miejsc jak to niech nie dotyka! Chcę, żeby trwały, jak chwila Goethego. Żeby przywracały mnie i człowiekowi w ogóle naturalny porządek świata, porządek oparty na harmonii, szacunku i zachwycie. Chcę wierzyć, że raj, w którym mieszkam, pod swoim „wielkim dachem nieba” pomieści nas wszystkich. I mnie, i Nutkę, i moja rodzinę, i was. Bo ten świat kochamy.

Chcielibyście? Spróbujmy. Przyjedźcie do Czaplinka. Nutka i dla was coś znajdzie.

TORT MOJEGO MIASTA

Stanąc w tym miejscu, przed tak zacną publicznością, to naprawdę niezwykła przyjemność. Mógłbym dziś zostać uczniem filozofa Epikura, który głosił, że podstawa życia jest przyjemność właśnie, taka jednak, która jest efektem korzystania z rozumu i przestrzegania zasad moralnych. Czyż nie jest to istotą naszego tu pobytu?

Wracając jednak do przyjemności – nie zgadniecie, co przysparza mi ich wręcz krocie. Otóż – gotowanie. Przygotowywanie, podawanie i spożywanie. Jak powiedział niezrównany Mikołaj Rej: „Aż nie rozkosz, kiedy się pieczenia wieprzowa dopieka, cietrzew w rosółku, a kapłon tłusty z kłóskami dowiera?” Prawda? A ciasta? Nie powiecie mi, że nie lubicie ciast. Serniki, orzechowce, karparki, torty... O, o tortcie coś wam dziś opowiem. O tortcie, jakim jest moje miasto.

Miasto? Miasteczko za ledwie. Mniej niż dziesięć tysięcy mieszkańców, pięćdziesiąt kilometrów do kina, sto do teatru, dwieście na dobry koncert. Ale za to jak się tu żyje! Pysznie po prostu!

Idąc w niedzielne południe w kierunku rynku, na którym po bożemu stoją kościół, poczta i fontanna, można naprawdę zrobić się głodnym. Dlaczego?



A chodźcie czasem na niedzielne obiady do babci, kiedy cały dom jest wypełniony najpiękniejszymi zapachami? Na samą myśl o nich żołądek się kurczy. Tak właśnie możemy poczuć się nie tylko w niedzielne południe w moim Czaplunku. Jakbyśmy znowu zasiedli przy ogromnym, dziadkowym stole i nie mogli doczekać się babcinych smakołyków.

Czyż można nie czekać z utęsknieniem na letnie zachody słońca nad ogromnym jeziorem Drawsko? Idziesz sobie promenadą ocienioną koronami wysokich, starych drzew, wybierasz ławeczkę, którą chcesz, siadasz z ... no, już nie wnikajmy z kim i rozkoszujesz się widokiem, jakiego ci choćby 10 HD nie zrekompensuje. Jak okiem sięgnąć – lśniące lustro wody, coś jak szafir ze szmaragdem, przetykany cyrkoniami. Na horyzoncie niewielkie wzgórza, bo to przecież teren polodowcowy, zielone

jak te nad Soliną, a nad nimi – mój Boże, co za szaleństwo barw! Fiolety, fuksje i pomarańcze zalewają wręcz ciemniejący amarant nieba, na którym błękitu już tylko okruchy, strzępki zaledwie, bo ogromna złota kula już niemal wpada do wody, już się w niej zanurza bezszelestnie, już purpurowieje, ciemnieje, znika...

Taaak, człowiek, który tego nigdy nie widział, nie wie zupełnie, czym jest słodycz tego świata. A to dopiero początek, baza, podstawa. Jak dobry biskopt na spodzie. A co dalej?

A dalej las. Gęsta warstwa sosnowej woni, miękkości mchu pod stopami, słonecznych refleksów na czarno-białej korze brzoź, z bakaliami myśliwskich ambon, z których o świcie bez trudu dostrzeżesz lekko stąpające na polanie lanie czy szaraki nastawiające co kilka skoków swe długie, kosmate słuchy.

Wychodząc z tej soczystej, leśnej konfitury, czego byś skosztował? Czegoś jasnego, łagodnego, a upojnego? Jak krem? Oto zbożowe pole – daleko, daleko aż po błękit letniego nieba rozświetlające międzyleśne przestrzenie. To pszeniczne wydaje się bardziej złociste, miękkie, jakby wygrzewające się długimi godzinami w lipcowym żarze, a tamta szarawa, jakby przysypana pyłem zmęczenia przestrzeń to z pewnością łan żyta, którego kłosy kłują ostrymi nitkami, chroniącymi ciemne, trochę cierpkie ziarna. Stoisz wśród takich śmietankowych pól, za plecami masz miły cień lasu, nieco wyżej rozbielony upał, jakby pociągnięty warstwą lukru, błękitny tiul nieboskłonu i... I jest tak słodko, że przydałaby się jakaś galaretka. Najlepiej z owocami.

To wracaj do miasteczka. To tylko dwa kroki. Wokół kolorowe, stuletnie domki, wielkie lipy i kasztanowce, chłodne alejki parku, droga do szkoły, rynek. Już lepiej? A teraz popatrz. Sąsiadka z zakupami. Pan od historii. Dzień dobry! Dzień dobry! Ksiądz proboszcz. Przedszkolaki ze swoją panią. Emeryci na ławce przed fontanną. Wszyscy cię znają. I ty znasz wszystkich. Gdziekolwiek pójdziesz – jesteś jak w domu. Swój.

Ale też – jak prawdziwy epikurejczyk, posługujący się rozumem i przestrzegający zasad moralnych, jesteś za tę cudownie spokojną, rozkoszną krajinę odpowiedzialny.

Tort łatwo popsuć niedobrym składnikiem. Świat też.

Ja, smakosz, tego nie uczynię. Co najwyżej podzielę się swoim kawałkiem tortu.

Przyjedźcie do Czaplinka?



WYDAWCA:

MERITUM Bożena Zimmermann
ul. Bluszczowa 19, 85-361 Bydgoszcz,
tel./fax 52 379 80 94, 602 177 266
e-mail: meritum@by.home.pl

NA ZLECENIE:

Lokalnej Organizacji Turystycznej Czaplinek
ul. Rynek 1, 78-550 Czaplinek,
tel./fax 94 375 47 90
e-mail: lot@czaplinek.pl
www.lot.czaplinek.pl

LEGENDY I GAWĘDY:

autor – Alina Karolewicz

RYSUNKI:

Ewa Tamulewicz

ZDJĘCIA:

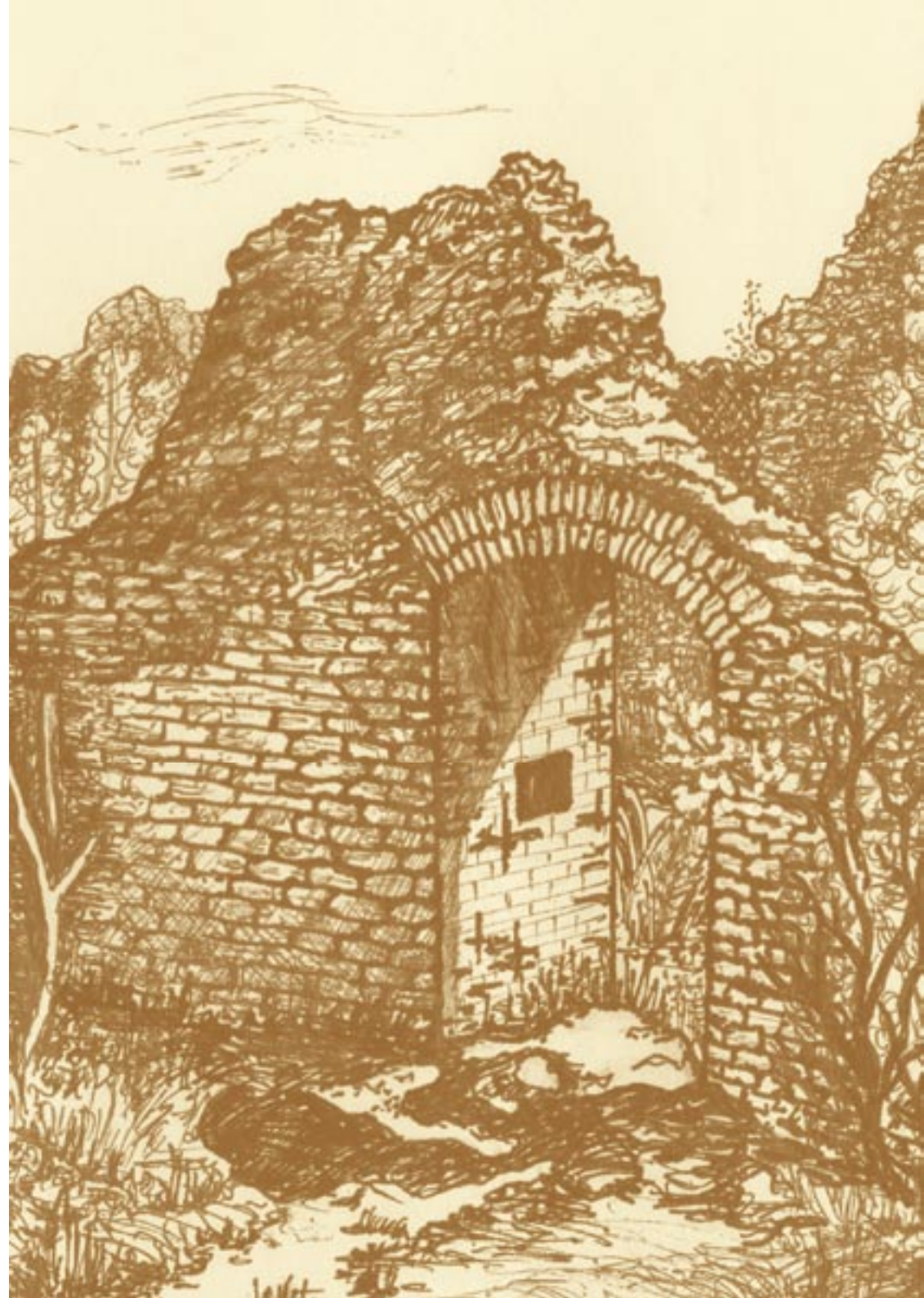
z archiwum Urzędu Miejskiego, Izby Muzealnej

SKŁAD, DRUK:

MERITUM Bożena Zimmermann

CZAPLINEK 2015

ISBN 978-83-61591-37-5





Publikacja jest współfinansowana
przez Zachodniopomorską Regionalną
Organizację Turystyczną

ISBN 978-83-61591-37-5